

Piotr Kitrasiewicz: Gałczyński był tragicznie rozdartą osobą

Gdy Gałczyński pojawił się w Warszawie, władze od razu go przygarnęły. Paradoksalnie, był im potrzebny właśnie dlatego, że kojarzył się z przedwojenną prawicą, a władzom komunistycznym zależało na stworzeniu pozoru, że pisarze z różnych opcji przedwojennych współpracują i akceptują komunizm – mówi Piotr Kitrasiewicz w wywiadzie dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Gałczyński. Kwadrans dla ponurych”.

Adam Talarowski (Teologia Polityczna): Książka „Polscy pisarze w cieniu Stalina” (2021) jest kontynuacją poszukiwań, które podjął Pan pisząc „Artystów w cieniu Stalina” (2018), pracę poświęconą twórcom żyjącym w Związku Radzieckim. Przyglądał się Pan również Berlinowi końca lat 30. w powieści „Jego ekscelencja na herbatce z Göringiem” (2016). Eksploruje Pan relacje między polityką, obywatelami, sztuką w rzeczywistości totalitarnej. Skąd to zainteresowanie?

Piotr Kitrasiewicz: Jeszcze jako student w latach 80. zainteresowałem się totalitaryzmem w III Rzeszy. Trzeba powiedzieć, że rynek książki stał wówczas w PRL na niskim poziomie – poczynając od tak prozaicznych kwestii jak jakość druku czy papieru, a kończąc na niedostatecznym zaspokajaniu oczekiwań czytelniczych treścią i tematyką wydawanych publikacji. Ale pozycje dotyczące II wojny światowej – choć oczywiście unikające pewnych tematów – były obficie reprezentowane na półkach bibliotek i księgarni, a ja chętnie je czytałem. Bardzo też polubiłem cykl Teatru

Telewizji „Przed burzą” z końca lat 70., nieco skażony partyjnym nadzorem nad jego produkcją, ale doskonale obsadzony – grali w nim Ignacy Gogolewski, Michał Pawlicki czy Henryk Bista. Pod względem oddania realiów czy dialogów było to udane przedsięwzięcie, a ja wówczas zainteresowałem się tematem ostatnich miesięcy przed wybuchem II wojny światowej. Pisano wówczas o tym wiele w sposób tendencyjny, proradziecki czy prokomunistyczny; spośród publikacji wydanych po odwilży, po 1956 roku, zdarzały się prace stawiające sprawy bardziej obiektywnie, ale i tak wiele trzeba było wyczytywać między wierszami. Po 1989 zaczęły pojawiać się już publikacje niezależne, reedycje książek wydanych w podziemiu lub na emigracji, tłumaczenia prac obcojęzycznych. Do dziś ten temat mnie fascynuje.

W 1982 roku, na II roku studiów napisałem jednoaktówkę „Koniec prologu”, której akcja osadzona jest w ambasadzie polskiej w Berlinie ostatniego dnia sierpnia i 1 września 1939 roku. Przyglądałem się w niej osobie ambasadora Lipskiego, do ostatnich chwil nieznanego rezultatów swoich działań i kierunku, w którym potoczą się wydarzenia. Temat wydał mi się bardzo literacki. Po latach przerobiłem go na opowiadanie oraz słuchowisko przeznaczone dla Teatru Polskiego Radia, z którym współpracowałem, nie trafiło jednak ostatecznie na antenę. Wróciłem do niego po latach, porozumiałem się z wydawnictwem w sprawie książki na ten temat i tak powstała powieść „Jego ekscelencja na herbatce z Göringiem”. Jestem z niej bardzo zadowolony, choć wiem, jak długo zbliżałem się do jej ostatecznej formy.

W niedługim czasie powróciłem do przełomu sierpnia i września 1939 roku – pisząc powieść „Athenia. Miłość i torpeda”, ukazującą w literackiej formie mało znane wydarzenia z 3 września tego roku, gdy na skutek niemieckiego

ataku zatopiony został parowiec płynący z Wielkiej Brytanii do Kanady, przewożący też wielu obywateli amerykańskich.

Ale zainteresowała Pana również rzeczywistość naznaczona piętnem radzieckiego komunizmu w wydaniu stalinowskim i artyści, którzy tworzyli w tych czasach.

Tak, w PRL było się mocno ograniczonym w zdobywaniu wiedzy na tematy związane z II wojną światową i okresem powojennym. To, co pisano o stalinizmie było tendencyjne, zresztą unikano tego tematu. Po zmianie ustroju pojawiło się wiele ciekawych pozycji, poszerzających naszą wiedzę. Zaproponowałem wydawnictwu MG, które wydało poprzednie moje książki, teksty w formie opowieści biograficznych „Artyści w cieniu Stalina”, pracę, w której przyglądałem się Eisensteinowi, Cwietajewej, Mandelsztamowi i Bułhakowowi. Po jej publikacji chciałem przyjrzeć się w podobnym ujęciu polskim pisarzom, ale tym razem napotkałem trudności ze strony wydawnictwa MG, mimo wstępnego porozumienia odnośnie do tematyki przygotowywanej książki. Po dłuższym czasie odrzucono przedstawiony przeze mnie tekst – obawiano się rzekomo reakcji potomków pisarzy, choć przygotowana przeze mnie praca jest świetnie udokumentowana źródłowo, a stawiane tezy i opisywane fakty są skrupulatnie potwierdzane cytatami. Wysuwane wobec książki zarzuty były w mojej opinii niesprawiedliwe.

Książka ukazała się ostatecznie nakładem wydawnictwa LTW; miałem okazję rozmawiać o niej z Katarzyną Wójcik na antenie telewizyjnej, z Wacławem Holewińskim na antenie radiowej Dwójki, z Tomaszem Zapertem w Trójce czy z Agnieszką Bryc na kanale YouTube *BibliotekaKoszykowa*. Reakcje czytelników były bardziej życzliwe niż postawa wydawnictw, które z nie do

końca dla mnie jasnych, chyba uwarunkowanych politycznie czy towarzysko powodów obawiały się książki ukazującej nie tylko jasne, ale też ciemniejsze strony biografii Gałczyńskiego, Broniewskiego, Boya-Żeleńskiego i Tuwima.

Właśnie, porozmawiajmy o jednym z tych twórców, którym przyglądał się Pan w swojej przedostatniej książce. 6 grudnia tego roku przypadnie 70. rocznica śmierci Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Jaka jest Pana opinia o Gałczyńskim jako twórcy? Czy ma Pan ulubione utwory, która część twórczości szczególnie do Pana trafia?

Przede wszystkim ta powojenna, kiedy Gałczyński związał się z „Przekrojem” Mariana Eilego. Teatrzyk „Zielona Gęś” – fantastyczny, w tych krótkich scenkach potrafił zawrzeć genialną satyrę, nie tylko na ustrój. Sam Eile stosował wprawdzie autocenzurę, przed wysłaniem do cenzury „właściwej”, ale Gałczyński potrafił między wierszami pokazać absurdy nowego ustroju, łącząc to z wdziękiem lat dwudziestych, tej szlachetczyzny, na którą krzywym okiem patrzyli ówczesi. Wytykano mu to zresztą, przez prawie rok pozostawał w odstawce po tym, jak zaatakował go Adam Ważyk na zebraniu Związku Literatów Polskich. Przez ten rok mógł tylko pisać dla dzieci i tłumaczyć. Przyszedł mu wtedy z pomocą Julian Tuwim, który zamówił u niego przekład *Snu nocy letniej* Szekspira, komedii w pięciu aktach, a więc dość długiej. Gałczyński dostał zaliczkę od Tuwima, który był kierownikiem literackim Teatru Nowego, nieistniejącego już w tej chwili teatru na Puławskiej.

Relacje Gałczyńskiego z Tuwimem były bardzo skomplikowane, zarówno na płaszczyźnie artystycznej, jak i osobistej...

Tak, zwłaszcza w latach trzydziestych, kiedy Gałczyński nawiązał współpracę z „Prosto z Mostu”. Ale nie chodzi tylko o to, gdzie publikował i co – on był po prostu tragicznie rozdartą osobą. Miał problemy natury psychicznej, niektórzy nawet twierdzili, że miał nawet chorobę dwubiegunową. Rzeczywiście miał okresy potężnej euforii, kiedy nie mógł usiedzieć w miejscu, po których przychodziły okresy bardzo silnej depresji. Pił wtedy dużo, chociaż nawet wówczas potrafił się zmobilizować do pracy. Pisanie było jego terapią. Był oczywiście poetą na wszelką okoliczność, pisał dla wszelkich tytułów, żył z honorariów.

W przeciwieństwie do niektórych artystów, nie miał on żadnego innego źródła dochodów, musiał pisać, żeby się utrzymać?

Tak. Okazjonalnie zdarzało się, że pracował na etacie, ale bardzo krótko. On nie był w stanie siedzieć od godziny do godziny z tymi samymi osobami. Taka osobowość i temperament – zawsze musiał mieć jakąś drogę ucieczki. Pracował jakiś czas w Konsulacie Polskim w Berlinie, w Warszawie w Towarzystwie Emigracyjnym, w Wilnie w radiu, gdzie się chyba najlepiej sprawdził, bo mógł tam rozwinąć swoją wspaniałą fantazję, połączoną z talentem do, nazwijmy to, konfabulacji. Dał temu wyraz już wcześniej. Studiował filologię angielską, w ogóle miał talent do języków – znał biegle kilka. Ostatecznie nie ukończył żadnych studiów, ale należał przez chwilę do koła naukowego anglistów, dla którego napisał rozprawę semestralną na temat twórczości zapomnianego szkockiego poety, Gordona Morrisa Cheatsa. Omówił dokładnie jego biografię, następnie analizował jego wiersze, obficie cytując. Słowem, solidna naukowa robota, sęk w tym, że taki poeta nie istniał. Od początku do końca był wymysłem Gałczyńskiego. Niektórzy z wykładowców odebrali to z oburzeniem, ale inni okazali się wyrozumiali, bo chociaż sobie z nich zakpił, to jednak wykazał się talentem. W każdym razie

wyrzucono go ze studiów. Był jeszcze na kilku innych kierunkach, ale nigdzie nie zagrzał miejsca. Podobną mistyfikację powtórzył potem właśnie w Radiu Wileńskim, dając cotygodniową audycję na temat odkrytego jakoby przez siebie poety polskiego romantycznego – nie muszę dodawać, że również nieistniejącego. Omawiał twórczość, biografie, cytował fragmenty.

Kierownikiem Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia był wtedy Witold Hulewicz. Nie wiem, czy z tego powodu rozpadła się ich współpraca, czy też z jakiegoś innego, ale po ponad roku Gałczyński wrócił do Warszawy, z Natalią i z urodzoną w Wilnie córką Kirą.

Wtedy nawiązuje współpracę z „Prosto z Mostu”?

Tak. Gałczyński napisał dla „Prosto z Mostu” kilka antysemickich wierszy. Tuwim miał do niego o to ogromną pretensję. Gałczyński wpadł w poczucie winy, potrafił w nocy po pijanemu dobijać się do mieszkania Tuwima, który nie chciał mu otworzyć. Gałczyński klęczał godzinami pod drzwiami i łkał, prosząc go o wybaczenie.

Po wojnie Gałczyński miał wobec Tuwima jeszcze większy dług wdzięczności?

Zgadza się, Tuwim miał wówczas lepszą pozycję w świecie literackim i wspomagał Gałczyńskiego, na przykład, o czym już wspomniałem, zamawiając przekład *Snu nocy letniej*. Z drugiej strony napisał w jednym z takich żartobliwych wierszyków, że „Gałczyński Kostek, jak dobrze zmierzyć, nie sięga mi do kostek”.

Przypominam sobie, że również przed wojną, kiedy Gałczyński był w wojsku, uwikłał się w jakąś podejrzaną historię, i już wtedy z opałów ratował go Tuwim, który również w tej Polsce sanacyjnej, miał wpływy w środowiskach piłsudczykowskich.

On rozrabiał wszędzie, gdziekolwiek się znalazł. Ta rozróżba w wojsku sprawiła, że ze stopnia podchorążego został zdegradowany do szeregowca. Być może to uratowało mu życie we wrześniu 1939 roku, bo służył w wojskach na wschodzie, przy granicy sowieckiej, wojna z Niemcami w zasadzie go nie dotyczyła. Natomiast gdy Sowieci napadli na Polskę, dostał się do niewoli i to, że był szeregowcem sprawiło, że nie wysłali go do Kozielska, a stamtąd – do Katynia, bo taki pewnie czekałby go los. Rosjanie przekazali go Niemcom, okres wojny spędził w obozie w Niemczech. Znał niemiecki, więc miał tam pewne przywileje, dostęp do artykułów, które na czarnym rynku obozowym mógł zamieniać na coś innego, na przykład na bimber. Ze wspomnień tych ludzi, którzy byli z nim w stalagu, zarysowuje się obraz człowieka raczej nie lubianego i bardzo gwałtownego. Kiedy pod wpływem alkoholu tracił kontrolę nad sobą, wpadał w furję i trzeba było używać siły, żeby go okiełznać. Mówiłem już o tej jego cesze charakteru – nie potrafił za długo wytrzymać z tymi samymi ludźmi. W obozie nie miał dokąd uciekać, więc uciekał w alkohol.

Po wojnie mógł zdecydować się na emigrację, postanowił jednak wrócić do Polski. Dlaczego?

Chodziło o żonę i o córkę, które okupację spędziły w Aninie. To właśnie z Anina wyszedł do wojska, kiedy dostał kartę mobilizacyjną. W jednym z wierszy opisywał, jak z córeczką żegna się w furtce, jak bierze ją na ręce i

całuje. Problem w tym, że z tej tułaczki po Zachodzie Gałczyński wrócił z kochanką...

Kłopotliwa sytuacja.

Jeszcze jak! Ale taki miał temperament przez całe życie. W każdym razie, jak Gałczyński pojawił się w Warszawie, władze od razu go przygarnęły. Paradoksalnie, był im potrzebny właśnie dlatego, że kojarzył się z przedwojenną prawicą, a władzom komunistycznym zależało na stworzeniu pozoru, że pisarze z różnych opcji przedwojennych współpracują i akceptują komunizm. Dostał mieszkanie przy Alei Róż, należała mu się opieka lekarska w klinice rządowej przy Emilii Plater. Miał też zresztą epizod szczeciński: pierwszy powojenny wojewoda szczeciński bardzo dbał o to, żeby Szczecin szybko zapełnić kulturą polską. W tym celu ściągnął Gałczyńskiego z żoną. W centrali jednak szybko uznano, że wojewoda jest zbyt gorliwy i odwołano go już po roku. Gałczyński natomiast miał tam atak serca, nie było tam odpowiednich warunków, by go leczyć, więc przywieziono go do Warszawy, do wspomnianej kliniki rządowej. Pisywał wiersze prokomunistyczne, o robotnikach, o konduktorkach, o spawaczach, o górnikach... Nie pisał jednak ani o Leninie, ani o Stalinie. To denerwowało kacyków partyjnych, stąd atak Ważyka i okres niełaski. W końcu się złamał. Napisał i o Leninie, i o Stalinie, ale dopiero na okazję jego śmierci. Widać zresztą wyraźnie, że to jest wiersz pisany na zamówienie, ponieważ był zupełnie odmienny stylistycznie od tego, co pisał wcześniej. Równie dobrze mógł to napisać ktoś zupełnie inny.

To jednak odróżnia go wyraźnie od Broniewskiego, który naprawdę wierzył w to, co pisał?

Tak, Broniewski wierzył do tego stopnia, że po odwilży nikt nie chciał wznawiać jego poematu *Słowo o Stalinie*, miał o to do wydawców wielkie pretensje. Uważał go za swoje arcydzieło, mimo że to była zwyczajna propagandówka polityczna, bez żadnej wartości artystycznej. W prologu swojej książki opisuję jego rozmowę przy wódce z Markiem Hłaską, który próbuje mu perswadować, że stalinizm to zło, czego on w ogóle nie dopuszcza do siebie. Uważał, że Stalin uratował naród polski przed hitleryzmem. W *Pięknych dwudziestoletnich* Hłasko wspominał, że pijany Broniewski chwycił za telefon i zadzwonił do ubecji. Gospościa wyskoczyła z kuchni i poradziła Hłasce, żeby uciekał. Hłasko faktycznie uciekł, ale okazało się ostatecznie, że na tej ubecji powiedzieli Broniewskiemu, żeby wytrzeźwiał, i tyle.

Wracając do Gałczyńskiego, w ostatnich latach życia przeplatał tę wymuszoną twórczość arcydziełami, takimi jak poemat *Niobe*, *Wit Stwosz*, *Leśniczówka* *Pranie...*

W takim razie może słowo o Praniu, skoro pan wspomniał ten utwór. Dziś znajduje się tam muzeum Gałczyńskiego. Rzeczywiście, warunki w Praniu sprzyjały twórczości, zwłaszcza kiedy leśniczówka była odcięta od świata podczas burzy. Najkrótsza droga do najbliższej miejscowości prowadziła przez środek jeziora, Gałczyńscy dysponowali co prawda nawet motorówką, ale wystarczyło, że fale były większe i nie dało się już przepłynąć, bo groziło to wywróceniem. Droga naokoło jeziora była z kolei długa i koszmarnie błotnista. Leśniczówka była więc odcięta od świata, nie było w niej elektryczności, zatem chcąc nie chcąc, wieczorami, przy świeczce, Gałczyński pisał.

Był już wtedy w złym stanie zdrowia. W 1953 w krótkim odstępie czasu umierają Gałczyński i Tuwim.

Gałczyński zmarł na początku grudnia, miał pogrzeb oficjalny, państwowy, ale – jeśli można tak powiedzieć – nie było na nim oznak entuzjazmu, bardzo sucha ceremonia, bez wielkich przemówień. Trzy tygodnie po nim zmarł w Zakopanem Julian Tuwim. Jego ciało sprowadzono do Warszawy. To był już bez wątpienia huczny pochówek. Były przemówienia, pojawili się kacykowie partyjni. Tuwim, jeśli chodzi o sławienie ustroju socjalistycznego, posunął się znacznie dalej niż Gałczyński, bo pisał i o Dzierżyńskim, i o Leninie, i oczywiście o Stalinie, tłumaczył też socrealistyczne utwory z rosyjskiego. Już przed wojną przetłumaczył poemat Aleksandra Bezymieńskiego o Dzierżyńskim, poemat cokolwiek ludobójczy. Autor, zresztą w zręczny sposób, w zgodzie ze sztuką poetycką, oddaje mentalność Dzierżyńskiego.

W tym kontekście chciałbym wspomnieć jeszcze o relacji Gałczyńskiego z Miłoszem, a właściwie o otwartej wrogości między nimi. Gałczyński napisał paszkwil na Miłosza *Poemat dla zdrajcy*, Miłosz ripostował przedstawieniem go jako Delty w *Zniewolonym umyśle...*

Tu działał jakiś wzajemny kompleks. Ci, którzy zostali w kraju i wysługiwali się komunistom, siłą rzeczy nienawidzili tych, którzy znaleźli się w wolnym świecie, bo im zazdrościli – dobrobytu i wolności. Tamci zaś mogli mieć poczucie winy, że nie są w kraju i nie cierpią pod rządami komunistów. Warto byłoby zbadać to od strony psychologicznej. Jeśli chodzi o *Poemat dla zdrajcy* Gałczyńskiego – oczywiście, napisał ten wiersz na zamówienie, ale, inaczej niż w przypadku wiersza o Stalinie, tu widać w treści i w stylu jego osobiste zaangażowanie, zjadliwość, czy wręcz nienawiść wobec Miłosza. Podkreślam

– pisał na zlecenie, ale wyraźnie mu to odpowiadało. Czy rzeczywiście uważał Miłosza za zdrajcę? Niewykluczone, ale na pewno drażniła go jego postawa, to, że Miłosz kreował się na patriotę, który z dystansu ocenia i poucza tych w kraju, jak mają postępować.

Gałczyński i Tuwim nie dożyli 1956 roku, nie mogli rozliczyć się wtedy ze swoją przeszłością.

Najdłużej żył Broniewski, który jednak, jak wiemy, nie wykorzystał szansy, żeby się rozliczyć – wierzył do samego końca. Inni, tacy jak Adam Ważyk, znakomicie się odnaleźli w nowej sytuacji. Ważyk, pisząc *Poemat dla dorosłych*, od razu się ustawił po drugiej stronie. A przecież dwa lata wcześniej tak zajadle atakował Gałczyńskiego na zebraniu Związku Literatów Polskich i był czołowym stalinowcem, czołowym socrealistą, a później stał się czołowym antystalinowcem...

rozmawiał Adam Talarowski

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Piotr Kitrasiewicz (ur. 1962) – poeta, dziennikarz, prozaik i dramaturg, krytyk literacki i teatralny. Studiował filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim i kulturoznawstwo na Uniwersytecie Łódzkim. Współpracował m.in. z „Magazynem Literackim”, w którym zajmował się detektywistyką literacką, odsłaniając w felietonach mało znane informacje o pisarzach. Należy do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Piotr Kitrasiewicz: *Polscy pisarze w cieniu Stalina. Opowieści biograficzne: Broniewski, Tuwim, Gałczyński, Boy-Żeleński*